

A vibrant desert landscape under a warm, orange-hued sky. In the foreground, a river flows through a valley, bordered by lush green palm trees and small shrubs. The middle ground shows rolling sand dunes with distinct ripples on their surface. In the background, more dunes rise against the horizon. The overall scene is a mix of arid and oasis-like elements.

W I L B U R SMITH

Faraon

CYKL EGIPSKI

Wolałbym połknąć własny miecz, niż otwarcie to przyznać, ale w głębi serca wiedziałem, że wreszcie jest po wszystkim.

Pięćdziesiąt lat temu nieprzebrane rzesze Hyksosów przybywające ze wschodnich dzikich krain bez ostrzeżenia wtargnęły do Egiptu. Byli to okrutni barbarzyńcy pozbawieni jakichkolwiek zalet. Mieli jeden atut, który uczynił ich niezwycięzonymi w bitwie. Były to rydwany bojowe zaprzężone w konie, których my, Egipcjanie, nigdy wcześniej nie widzieliśmy ani nawet nie znaliśmy ze słyszenia i które w naszych oczach wyglądały strasznie i odrażająco.

Próbowaliśmy pieszo powstrzymać atak Hyksosów, ale nas rozgromili, bez wysiłku okrążając w rydwanach nasze wojska i zasypując je strzałami. Nie mając wyboru, pobiegliśmy do łodzi i uciekliśmy na południe, w górę potężnego Nilu. Płynęliśmy i przeciągaliśmy łodzie przez katarakty, aż dotarliśmy na pustkowią. Przeczekaliśmy tam ponad dziesięć lat, usychając z tęsknoty za ojczyzną.

Przypadkiem udało mi się zdobyć wiele koni nieprzyjaciela, które zabraliśmy ze sobą. Gdy tylko odkryłem, że koń wcale nie jest wstrętnym, lecz najbardziej inteligentnym i uległym ze wszystkich zwierząt, opracowałem własną wersję rydwanu – lżejszego, szybszego i zwrotniejszego niż pojazdy Hyksosów. Nauczyłem chłopaka, który później został faraonem Tamose, jak powozić rydwanem i jak na nim walczyć.

W stosownym czasie my, Egipcjanie, popłynęliśmy w dół Nilu w naszych rzecznych łodziach, wyładowaliśmy rydwany na egipskich brzegach i runęliśmy na wrogów, przepędzając ich na północną deltę. Przez kolejne dziesięciolecia walczyliśmy z Hyksosami.

Ale teraz koło zatoczyło pełen krąg. Faraon Tamose był starcem, leżącym w namiocie ze śmiertelną raną zadaną przez hyksoską strzałę. Egipska armia topniała i jutro stanę w obliczu tego, co nieuchronne.

Nie wystarczył już nawet mój nieustraszony duch, który przez pół wieku mobilizował Egipt do walki. Tego roku zostaliśmy pokonani w dwóch następujących po sobie wielkich bitwach, obu pełnych goryczy i krwi. Hyksoscy najeźdźcy, którzy wydarli nam większą część naszej ojczyzny, stali na progu ostatecznego triumfu. Zagarnęli prawie cały Egipt. Nasze wojska zostały rozbite i pokonane. Bez względu na to, jak desperacko próbowałem zebrać żołnierzy i wskrziesić w nich ducha bojowego, pogodzili się z klęską i sromotą. Padła większość naszych koni, a te, które jeszcze trzymały się na nogach, z ledwością dźwigały ciężar człowieka albo ciągnęły rydwan. Co do ludzi, niemal połowa miała świeże otwarte rany, tylko okręcone szmatami. Liczba żołnierzy zmalała prawie o trzy tysiące podczas dwóch bitew, które sto-

czyliśmy i przegraliśmy od początku roku. Większość z tych, co przeżyli, mogła pójść do boju chwiejnym krokiem, z mieczem w jednej ręce i kulą w drugiej.

Prawda jest taka, że największe straty ponosiliśmy nie tyle wskutek śmierci czy odniesionych ran, ile dezercji. Dumne niegdyś oddziały faraona w końcu straciły wolę walki i tłumnie uciekały przed rzeszami nieprzyjaciela. Łzy wstydu spływały mi po policzkach, gdy na przemian błagałem umykających żołnierzy i groziłem im chłostą, śmiercią i hańbą. Nie zwracali na mnie uwagi, nawet nie spoglądali w moją stronę, gdy biegli lub kuśtykali na tyły, rzucając broń. Hyksoskie hordy zgromadziły się pod samymi bramami Teb. Jutro poprowadzę niedobitki naszych wojsk do boju, który będzie naszą ostatnią nikłą szansą na uniknięcie krwawego unicestwienia.

Kiedy noc zapadła nad polem bitwy, kazałem sługom wyczyścić tarczę i zbroję ze świeżych plam krwi, a także wyklepać hełm wgięty przez hyksoskie ostrze. Pióropusz zniknął odcięty tym samym ciosem. Później w migotliwym blasku pochodni zadumałem się, patrząc na swoje odbicie w ręcznym lusterku z wypolerowanego brązu. Jak zawsze widok ten pokrzepił we mnie osłabłego ducha. Znów mi przypomniał, jak chętnie ludzie podążają za wizerunkiem czy reputacją, mimo że zdrowy rozsądek ostrzega przed nieubłaganą śmiercią. Zmusiłem się do uśmiechu, próbując zignorować cienie melancholii w głębi moich oczu. Pochyliłem się, przechodząc pod klapą namiotu, i udałem się złożyć wyrazy uszanowania mojemu umiłowanemu faraonowi.

Faraon Tamose leżał na pryczy otoczony przez trzech chirurgów i sześciu ze swoich wielu synów. W szerokim kręgu wokół niego zgromadzili się generałowie i najwyżsi doradcy, a także pięć

jego ulubionych żon. Wszyscy mieli poważne miny, a małżonki płakały, faraon bowiem umierał. Tego dnia na polu bitewnym odniósł poważną ranę. Ułamany promień hyksoskiej strzały wciąż sterczał spomiędzy jego żeber. Żaden z obecnych lekarzy, łącznie ze mną, najwprawniejszym z nich wszystkich, nie miał śmiałości, żeby wyciągnąć haczykowaty grot tkwiący tak blisko serca. Złamaliśmy drzewce niemal przy samej ranie i teraz czekaliśmy na nieuchronny wynik. Do jutrzejszego południa faraon prawie na pewno zwołni tron, zostawiając go Utterykowi Turowi, najstarszemu synowi, który siedział u jego boku i próbował nie okazywać, że rozkoszuje się myślą o chwili, kiedy zostanie władcą Egiptu. Utteryk był bezbarwnym i nieudolnym człowiekiem, który nawet sobie nie wyobrażał, że jutro o zachodzie słońca jego królestwo już może nie istnieć – przynajmniej tak o nim w owym czasie myślałem. Wkrótce miałem się, niestety, przekonać, jak bardzo się myliłem w tym osądzie.

Tamose był starcem. Znałem jego wiek niemal co do godziny, ja bowiem przyjąłem go jako noworodka na ten bezwzględny świat. Krążyła popularna legenda, że jego pierwszym czynem po porodzie było obfite zlanie mnie moczem. Stłumiłem uśmiech na myśl, jak przez ponad sześćdziesiąt następnych lat nigdy nie wahał się, żeby w podobny sposób okazywać mi swoją nawet najbardziej umiarkowaną dezaprobatę.

Przyszedłem do niego i ukląknęłam, żeby ucałować jego ręce. Faraon wyglądał staro, nawet jak na swoje lata. Niedawno ufarbowano mu włosy i brodę, ale wiedziałem, że pod ulubionym przez niego jasnorudym barwnikiem włosy są białe niczym wyblakłe na słońcu wodorosty. Jego twarz była poryta głębokimi bruzdami i nakrapiana ciemnymi plamami. Pod oczami miał worki po-

marszczonej skóry – pod oczami, z których wyzierała zapowiedź nadchodzącej śmierci.

Nie wiem, ile mam lat. Jestem o wiele starszy od faraona, ale wyglądam znacznie młodziej, nawet nie na połowę jego wieku. To dlatego, że jestem długowieczny i pobłogosławiony przez bogów, szczególnie przez boginię Inanę. Tak brzmi tajemne imię bogini Artemidy.

Faraon spojrzął na mnie i przemówił z bólem i wielką trudnością. Miał chrapliwy głos i świszczący, wyętyżony oddech.

– Tata! – powitał mnie pieszczotliwym imieniem, które mi nadał, kiedy był dzieckiem. – Wiedziałem, że przyjdiesz. Zawsze czujesz, kiedy najbardziej cię potrzebuję. Powiedz mi, drogi stary przyjacielu, co z jutrem?

– Jutro należy do ciebie i Egiptu, panie. – Nie mam pojęcia, dlaczego takie słowa wybrałem na odpowiedź, wszak było pewne, że wszystkie nasze jutra należały do Anubisa, boga cmentarzy i życia pozagrobowego. Jednakże kochałem mojego faraona i chciałem, żeby odszedł w takim spokoju, jak tylko to było możliwe.

Uśmiechnął się, wyciągnął drżącą rękę, ujął moją dłoń i przyciskał ją do piersi, dopóki nie zasnął. Chirurdzy i jego synowie opuścili namiot i przysięgam, że widziałem lekki uśmiech na ustach Utteryka. Siedziałem z Tamosem do późnej nocy, jak kiedyś z jego matką, kiedy odchodziła, ale w końcu pokonało mnie odrętwiające zmęczenie bitwy. Uwolniłem rękę z jego dłoni i zostawiłem go, wciąż uśmiechniętego, po czym ciężkim krokiem wróciłem do swojego namiotu, padłem na siennik i pogrzyżyłem się w podobnym do śmierci śnie.

Słudzy mnie zbudzili, zanim złoto pierwszego światła dnia musnęło wschodni nieboskłon. Prędko ubrałem się do bitwy i przypasałem miecz, a później pośpieszyłem do królewskiego namiotu. Kiedy znów ukląknę przy łóżku faraona, wciąż się uśmiechał, lecz kiedy dotknąłem jego rąk, poczułem, że są zupełnie zimne. Umarł.

– Opłaczymy cię później, Mem – obiecałem mu, podnosząc się. – Teraz muszę iść i jeszcze raz spróbować dotrzymać przysięgi, którą złożyłem tobie i naszemu Egipcjowi.

To przekleństwo długowiecznego: przeżyć wszystkich tych, których kochasz najbardziej.

Resztki naszych rozbitych wojsk gromadziły się na przełęczy przed złotym miastem Teby, gdzie od trzydziestu pięciu dni desperacko odpieraliśmy drapieżne hordy Hyksosów. Przejechałem bojowym rydwanem wzdłuż naszych zdziesiątkowanych szeregów. Gdy żołnierze mnie rozpoznali, ci, którzy wciąż mogli to zrobić, chwyciwszy się na nogach i pochylili się, żeby podnieść swoich rannych towarzyszy. Uformowali szeregi – silni i zdrowi

wraz z tymi, którzy byli w połowie drogi do śmierci. Wszyscy unieśli broń ku porannemu niebu i krzyczeli na wiwat, kiedy przejeżdżałem.

– Taita! Taita! Taita! – skandowali rytmicznie.

Powstrzymałem łzy, które wezbrały mi w oczach na widok dzielnych synów Egiptu w takim rozpaczliwym stanie. Zmusiłem się do uśmiechu, wręcz śmiałem się i nie szczędziłem słów otuchy, wołając do tłumu lojalnych poddanych, których tak dobrze znałem:

– Hej, Osmecie! Wiedziałem, że znajdę cię w pierwszym szeregu.

– Nigdy więcej niż długość miecza za tobą, panie! – odkrzyknął.

– Lothanie, zachłanny stary lwie. Czy już nie zatłukłeś więcej tych hyksoskich psów, niż ci się należało?

– Tak, ale wciąż połowę mniej niż ty, panie Tata. – Lothan należał do moich wyjątkowych ulubieńców, więc pozwoliłem mu używać zdrobnienia. Kiedy przejechałem, wiwaty ustąpiły straszliwej ciszy, a żołnierze znów osunęli się na kolana i patrzyli ku przełęcz, gdzie, jak wiedzieli, hyksoskie wojska czekały tylko na pełne światło dnia, żeby ponowić atak. Pole bitewne wokół nas było gęsto zasłane ciałami z wielu długich dni rzezi. Lekki wiatr niósł ku nam smród śmierci, który przy każdym oddechu oblepiał mi język i gardło niczym gęsty olej. Odchrząknąłem i wypłułem flegmę za burtę rydwanu, ale z każdym kolejnym oddechem odór stawał się coraz silniejszy i bardziej odrażający.

Ścierwojady już ucztowały na otaczających nas stosach trupów. Szerokoskrzydłe sępy i kruki krążyły nad pobojowiskiem, po czym opadały ku ziemi, żeby konkurować z szakalami i hienami

we wrzeszczącym i szamoczącym się kłębowisku, szarpiąc ludzkie mięso, wydzierając strzępy i łykając je w całości. Przebiegły mnie ciarki zgrozy, gdy wyobraziłem sobie, że i mnie może czekać taki sam los, kiedy w końcu padnę pod hyksoskim ostrzem.

Zadrzałem i spróbowałem odsunąć od siebie te myśli. Krzyknąłem do kapitanów, żeby wysłali łuczników w pole po tyle strzał ze zwłok, ile tylko znajdą, i napełniali puste kołczany.

Nagle przez kakofonię wrzasku zwierząt przebił się łoskot jednego bębna, płynący echem w górę przełęczą. Moi ludzie też go usłyszeli. Sierzanci wyrzucili rozkazy i łucznicy przybiegli z pola ze znalezionymi strzałami. Ludzie podnieśli się z ziemi i ramię w ramię stanęli w szeregach z nakładającymi się na siebie skrajami tarcz. Ostrza ich mieczy i groty włóczni były poszczerbione i stępione od intensywnego używania, ale wysunęli je w kierunku wroga. Łuki mieli okręcone sznurkiem w miejscach, gdzie drewno popękało, a wielu strzałom przyniesionym z pobojowiska brakowało lotek, ale miały lecieć na tyle prosto, żeby zrobić swoje z bliskiego zasięgu. Moi ludzie byli weteranami i znali wszystkie sztuczki, które pozwalały jak najlepiej wykorzystać zniszczony ekwipunek.

W dalekim wylocie przełęczą w poprzedzającym świt mroku zamajaczyły formacje nieprzyjaciela. Z początku wydawały się niegroźne, pomniejszone przez odległość i pierwsze światło, ale szybko rosły w oczach, gdy maszerowały w naszą stronę. Sępy z wrzaskiem wzbłyły się w powietrze; szakale i inni czworonożni padlinożercy czmychnęli przed nadciągającym wrogiem. Hyksoskie rzesze zalewały przełęcz i nie po raz pierwszy poczułem, że upadam na duchu. Zdawało się, że mają nad nami przewagę co najmniej trzy, a może nawet czterokrotną.

Gdy jednak podciągnęli bliżej, ujrzałem, że pokiereszowaliśmy ich równie strasznie, jak oni nas. Spora część miała rany obwiązane przesiąkniętymi krwią szmatami, inni kuśtykali o kulach, a jeszcze inni ślaniai się i potykali, popędzani przez sierżantów, z których większość miała rzemieńne bicz. Uradowała mnie myśl, że są zmuszeni uciekać się do takich ekstremalnych środków, żeby nakłonić ludzi do utrzymania szyku. Przejechałem rydwanem wzdłuż pierwszego szeregu moich ludzi, dodając im otuchy i pokazując, że hyksoscy kapitanowie używają biczków.

– Tacy jak wy nie potrzebują bicia, żeby wypełnić swój obowiązek. – Mój głos niósł się wyraźnie nad łoskotem hyksoskich bębnow i tupotem opancerzonych stóp. Ludzie wznosili wiwaty, a także wykrzykiwali obelgi i szyderstwa ku zbliżającym się szeregom wroga. Przez cały czas oceniałem kurcząca się odległość pomiędzy obiema armiami. Zostały mi tylko pięćdziesiąt dwa rydwany z trzystu dwudziestu, z którymi zacząłem kampanię. Strata koni była dla nas szczególnie dotkliwa. Jedyna nasza przewaga polegała na tym, że zajmowaliśmy silną pozycję na szczycie stromej przełęczy. Wybrałem to miejsce z całą rozważą i przebiegłością, jakiej się nauczyłem w niezliczonych bitwach w czasie mojego długiego życia.

Hyksosi stosowali taktykę podwożenia łuczniczków w rydwanach na odległość strzału do naszych szeregów. Pomimo naszego przykładu nie używali łuków z wygiętymi końcami, ale uparcie trzymali się tych prostych, z których nie można strzelać równie szybko jak z naszych i które mają znacznie mniejszy zasięg. Zmuszając Hyksosów do porzucenia rydwanów u stóp skalistej przełęczy, pozbawiłem ich możliwości szybkiego podwiezienia

łuczników na tyle blisko, żeby mogli skutecznie razić strzałami naszą piechotę.

Nadeszła krytyczna chwila, kiedy musiałem wysłać w pole ostatnie rydwany. Osobiście prowadziłem szwadron, gdy ruszyliśmy zwartym szeregiem i skręciliśmy przed frontem nacierających Hyksosów. Wypuszczając strzały w zmasowane szeregi z odległości sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu kroków, zabiliśmy albo okaleczyliśmy prawie trzydziestu wrogów, zanim mogli przypuścić na nas atak.

Kiedy to się stało, zeskoczyłem z rydwanu i gdy mój woźnica odjechał, wcisnąłem się w środek pierwszego szeregu, ustawiając tarczę tak, żeby dotykała brzegów tarcz moich towarzyszy.

Prawie natychmiast zaczęła się walka wręcz. Falanga wroga zderzyła się z nami z potężnym łoskotem brązu. Dwie armie napierały z wysuniętymi do przodu tarczami, wytężając siły, żeby przełamać linię przeciwnika. Były to gigantyczne zmagania, które wymuszały na nas nawiązanie wręcz intymnego kontaktu, bardziej obscenicznego niż jakikolwiek wynaturzony akt płciowy. Walczyliśmy brzuchem w brzuch i twarzą w twarz i kiedy stękałymi i wrzeszczeliśmy niczym zwierzęta w rui, ślina tryskała z naszych wykrzywionych ust w twarze nieprzyjaciół.

W ścisłości nie mogliśmy używać długiej broni. Byliśmy miażdżeni pomiędzy murami brązowych tarcz. Potknięcie się oznaczało upadek i stratowanie nawet na śmierć przez podkute brązem sandały sprzymierzeńców i wrogów.

Walczylem w murze tarcz tak często, że nawet musiałem zaprojektować broń przeznaczoną specjalnie do tego celu. Długi miecz pewnie tkwił w pochwie, zastąpiony przez smukły sztylet

z ostrzem nie dłuższym niż rozpiętość mojej dłoni. Nawet kiedy opancerzone ciała towarzyszy przyciskają ci ramiona do boków, a twarz wroga jest oddalona o dłoń od twojej twarzy, wciąż jesteś zdolny użyć tego małego oręża – wystarczy wsunąć czubek ostrza w szczelinę napierśnika i pchnąć.

Tego dnia przed bramami Teb zabiłem co najmniej dziesięciu smagłych brodatych Hyksosów, nieznacznie poruszając prawą ręką. Gdy moje ostrze przeszły narządy wewnętrzne, z nadzwyczajną satysfakcją spoglądałem w oczy wroga, patrzyłem na rysy wykrzywione cierpieniem i na koniec czułem na twarzy gorące ostatnie tchnienie wypychane z płuc przed upadkiem. Może nie jestem z natury mściwy ani okrutny, lecz dobry bóg Horus wie, że mój lud i ja wycierpieliśmy z rąk tego barbarzyńskiego plemienia tyle, iż możemy znajdować przyjemność w takim odwecie, na jaki tylko możemy sobie pozwolić.

Nie wiem, jak długo ścieraliśmy się w murze tarcz. Zdawało mi się, że brutalna walka trwała wiele godzin, ale po zmianie kąta promieni bezlitosnego słońca nad nami poznałem, że upłynęła niespełna godzina, zanim hyksoskie hordy oderwały się od naszych szeregów i odstały na niewielką odległość. Obie strony były wyczerpane zaciekłością starcia. Staliśmy naprzeciwko siebie, przegrodzeni wąskim pasem ziemi, dysząc jak dzikie zwierzęta, ślaniając się na nogach, skąpani we własnej krwi i pocie. Jednakże z gorzkiego doświadczenia wiedziałem, że ta chwila wytchnienia będzie krótka, że znowu skoczmy jedni na drugich niczym wściekłe psy. Wiedziałem także, że to nasza ostatnia bitwa. Powiodłem wzrokiem po otaczających mnie ludziach i zobaczyłem, że są bliscy kresu wytrzymałości. Było ich nie więcej niż dwanaście setek. Może zdołają przetrwać kolejną godzinę starcia

w murze tarcz, ale niewiele dłużej. Potem będzie po wszystkim. Z trudem odpierałem narastającą rozpacz.

Nagle ktoś szarpnął mnie za ramię i wykrzyknął słowa, które zrazu nie miały wiele sensu.

– Panie Taito, z tyłu nadciąga drugi liczny oddział wroga. Mają nas w kleszczach. Jeśli nie wymyślisz sposobu na ratunek, już po nas.

Odwrociłem się twarzą ku zwiastunowi tych strasznych wieści. Jeśli to prawda, byliśmy przekłeci, po dwakroć przekłeci. Człowiek stojący przede mną był kimś, komu mogłem zaufać. Był jednym z najbardziej obiecujących młodych oficerów w armii faraona. Dowodził sto pierwszym szwadronem ciężkich rydwanów.

– Poprowadź mnie i pokaż, Merabie! – rozkazałem.

– Tędy, panie! Mam dla ciebie świeżego konia. – Z pewnością widział, że jestem bliski zupełnego wyczerpania, bo chwycił mnie za ramię i pomógł przejść przez pobojowisko zasłane stosami martwych i konających, porzuconą bronią i innym bojowym rynsztunkiem. Dotarliśmy na tyły do niewielkiego oddziału naszych żołnierzy, czekających z parą świeżych koni. Po drodze odzyskałem siły na tyle, żeby strząsnąć pomocną dłoń Meraba. Nie cierpię zdradzać się bodaj z najmniejszą słabością przed moimi ludźmi.

Wsiadłem na konia i pogalopowałem na czele tej małej grupy na wzniesienie leżące pomiędzy nami i dolnym biegiem Nilu. Na szczycie ściągnąłem wodze tak gwałtownie, że rumak wygiął szyję w łuk i zatańczył w wąskim kręgu. Nie wiedziałem, jak mam dać upust rozpacz.

Wysłuchawszy Meraba, spodziewałem się, że zobaczę trzy-stu, może czterystu maszerujących na nas hyksoskich żołnierzy.

Już taka liczba byłaby wystarczająca, żeby przypieczętować nasz los. Zamiast tego ujrzałem wielotysięczną armię piechurów, co najmniej pięćset rydwanów i tyle samo jeźdźców stłoczonych po tej stronie Nilu. Wsiadali na łąd z flotylli cudzoziemskich okrętów, które cumowały wzdłuż brzegu rzeki poniżej złotego miasta Teby.

Wiodąca formacja wrogiej konnicy już była na lądzie i gdy tylko jeźdźcy spostrzegli naszą żalosną grupę złożoną z kilkunastu ludzi, pogalopowali w górę brzegu, żeby się z nami rozprawić. Nasze wierzchowce były już zmęczone. Jeśli rzucimy się do ucieczki, tamte wspaniałe, najwyraźniej wypoczęte rumaki dopędzą nas, zanim pokonamy sto kroków. Jeśli zostaniemy i podejmiemy walkę, jeźdźcy nas wytną, nie roniąc kropli potu.

Zdusiłem rozpacz i nowymi oczami spojrzałem na tych obcych. Poczułem lekką ulgę, wystarczającą, żeby nabrać otuchy. Nie nosili hyksoskich hełmów bojowych. Nie wsiadali z typowych hyksoskich galer.

– Zostań tutaj, kapitanie Merabie! – warknąłem. – Pojadę pertraktować z tymi przybyszami. – Zanim miał szansę wyrazić sprzeciw, odpiąłem od pasa pochwę z mieczem i bez wyjmowania nagiego ostrza obróciłem ją i uniosłem w uniwersalnym geście pokoju. Ruszyłem kłusem w dół zbocza na spotkanie oddziału cudzoziemskich jeźdźców.

Żywo pamiętam poczucie klęski, które mi towarzyszyło, gdy się do nich zbliżałem. Widziałem, że tym razem wystawiłem cierpliwość Tyche, bogini opatrności, na zbyt wielką próbę. Nagle, ku mojemu zdumieniu, dowódca wyszczeptał rozkaz i jego ludzie posłusznie schowali miecze na znak, że nie mają wroгих zamiarów, po czym stanęli w zwartym szyku za jego plecami.

Wziąłem z nich przykład i zatrzymałem rumaka w odległości kilkudziesięciu kroków od dowódcy. Przyglądaliśmy się sobie wzajemnie przez czas potrzebny na zrobienie głębokiego oddechu, po czym uniosłem zasłonę mojego pogiętego hełmu, żeby pokazać oblicze.

Dowódca konnych wybuchnął śmiechem. Był to w tych pełnych napięcia okolicznościach dźwięk wielce nieoczekiwany, ale zarazem niesamowicie znajomy. Patrzyłem jednak przez całe trzydzieści uderzeń serca, zanim rozpoznałem jeźdźca. Wciąż był rostry, muskularny i pewny siebie, chociaż broda mu posiwiiała. Już nie był młodym byczkiem o świeżej, gorliwej twarzy, szukającym swojego miejsca w tym twardym, bezwzględny świat. Wyraźnie znalazł to miejsce. Otaczała go aura najwyższego wodza, a za plecami miał potężną armię.

– Zaras? – Z powątpiewaniem wymówiłem imię. – Nie do wiary, to nie możesz być ty!

– Tylko imię trochę się różni, ale wszystko inne zostało takie samo, Taito. Z tym wyjątkiem, że może jestem odrobinę starszy i, mam nadzieję, odrobinę mądrzejszy.

– Wciąż mnie pamiętasz po tylu latach. Ile ich minęło? – zapytałem go ze zdumieniem.

– Zaledwie trzydzieści, i tak, wciąż cię pamiętam. Nigdy cię nie zapomnę, nawet gdybym żył dziesięć razy dłużej, niż żyję.

Teraz ja się roześmiałem.

– Mówisz, że zmieniło się twoje imię. Pod jakim teraz jesteś znany, drogi Zarasie?

– Przybrałem imię Hurotas. To dawne budziło niefortunne skojarzenia – odrzekł.

Uśmiechnąłem się, słysząc to oczywiste niedomówienie.

– Więc teraz zwiesz się tak samo jak król Lacedemonu? – Słyszałem już to imię, zawsze wypowiedziane z najgłębszym szacunkiem i nabożną czcią.

– Dokładnie tak samo – zgodził się. – Albowiem młody Zaras, którego ongiś znałeś, został królem, z którym obecnie rozmawiasz.

– Chyba żartujesz! – wykrzyknąłem w zdumieniu, gdyż wychodziło na to, że mój podwładny z dawnych lat wzniósł się na wyżyny świata, zaiste na sam szczyt. – Ale jeśli mówisz prawdę, powiedz mi, co się stało z siostrą faraona Tamosego, księżniczką Tehuti, którą uprowadziłeś, gdy miałem ją w mojej pieczy.

– Właściwe słowo brzmi uwiodłem, nie uprowadziłem. Nadto już nie jest księżniczką. – Stanowczo pokręcił głową. – Jest królową, ponieważ nie zbrakło jej rozsądku, żeby mnie poślubić.

– Czy wciąż jest najpiękniejszą kobietą na świecie? – zapytałem bardziej niż trochę tęsknie.

– W języku mojego królestwa Sparta oznacza „najpiękniejszą”. Na jej cześć nazwałem miasto. Księżna Tehuti została królową Spartą Lacedemońską.

– A co z innymi, którzy również są drodzy mojemu sercu i pamięci, a których zabrałeś ze sobą na północ przed tyloma laty...?

– Oczywiście mówisz o księżnej Bekacie i Huim. – Król Hurotas krótko uciął moje pytania. – Są teraz mężem i żoną. Jednakże Hui od dawna nie jest skromnym kapitanem. Został najwyższym admirałem i dowodzi lacedemońską flotą, tą, którą widzisz na rzece. – Wskazał za siebie na potężny rząd okrętów kotwiczących przy brzegu Nilu. – W tej chwili nadzoruje lądowanie reszty moich sił ekspedycyjnych.

– Królu Hurotasie, dlaczego wróciłeś do Egiptu po tych wszystkich latach?

Zaciekłość odmieniła jego rysy, gdy odparł:

– Przybyłem, ponieważ w sercu nadal jestem Egipcjaninem. Od szpiegów usłyszałem, że macie tu ciężko i grozi wam klęska z rąk Hyksosów. Te bydłeta zbezczesciły naszą niegdyś piękną ojczyznę. Gwałcili i mordowali nasze kobiety i dzieci; wśród ich ofiar była moja matka i moje dwie małe siostry. Zgwałcili je i rzucili, wciąż żywe, w tłące się pogorzelisko naszego domu, po czym ze śmiechem patrzyli, jak płoną. Wróciłem do Egiptu, żeby pomóc im śmierć i ocalić Egipcjan przed podobnym losem. Jeśli mi się powiedzie, mam nadzieję zawrzeć długotrwałe przymierze pomiędzy naszymi krajami: Egiptem i Lacedemonem.

– Dlaczego czekałeś dwadzieścia trzy lata?

– Z pewnością pamiętasz, Taito, że kiedyśmy ruszyli w drogę, byliśmy garstką młodych uciekinierów na trzech małych galerach. Uciekaliśmy przed tyranią faraona, który chciał nas rozdzielić z ukochanymi kobietami.

Skinieniem głowy poświadczyłem prawdę jego słów. Mogłem to zrobić bez ryzyka, jako że rzezonym faraonem był Tamose, który w nocy wyzionął ducha.

Król Hurotas, który ongiś był młodym Zarasem, podjął:

– Szukaliśmy nowej ojczyzny. Znalazienie jej i zbudowanie potęgi z armią liczącą ponad pięć tysięcy wyborowych wojowników zajęło długie lata.

– Jak tego dokonałeś, Wasza Wysokość? – zapytałem.

– Dzięki odrobinie uprzejmej dyplomacji – odparł z miną niewiniątka, kiedy jednak obrzuciłem go sceptycznym spojrzeniem, zachichotał i przyznał: – W połączeniu z odrobiną siły bru-

talnych ramion i bezceremonialnego podboju. – Wskazał palcem potężną armię wysiadającą na wschodni brzeg Nilu. – Kiedy ma się taką siłę, jaką tutaj widzisz, obcy rzadko są skłonni do sporów.

– To bardziej do ciebie pasuje – stwierdziłem.

Hurotas lekkim skinieniem głowy i uśmiechem zbył mój komentarz, po czym powrócił do wyjaśnień.

– Wiedziałem, że zapewnienie wam pomocy i wsparcia jest moim patriotycznym obowiązkiem. Przybyłbym rok temu, ale moja flota była za mała na przewiezienie wojska. Musiałem zbudować więcej okrętów.

– Jesteś tu zatem bardziej niż mile widziany, Wasza Wysokość. Zjawiłeś się w krytycznej chwili. Jeszcze godzina, a byłoby za późno. – Zeskoczyłem z konia. Hurotas widać się tego spodziewał, bo zrobił to samo, sprężyście jak człowiek o połowę młodszy, i wyszedł mi na spotkanie. Objęliśmy się jak bracia i w sercach byliśmy braćmi, jednak czułem do niego miłość więcej niż braterską, bo nie dosyć, że sprowadził siłę zapewniającą Egipcjom ocalenie przed tą bandą bezwzględnych drapieżców, to miałem też wrażenie, że sprowadził ze sobą moją ukochaną Tehuti, córkę królowej Lostris. Matka i córka, te dwie kobiety wciąż były tymi, które kochałem najbardziej przez całe moje długie życie.

Nasz uścisk, acz krótki, był pełen ciepła. Cofnąłem się i lekko trąciłem Hurotasa w ramię.

– Niebawem będzie więcej czasu na snucie wspominków. W tej chwili kilka tysięcy Hyksosów czeka na przełęcz na naszą uwagę, twoją i moją. – Wskazałem wzgórza i na twarzy Hurotasa odmalowało się zaskoczenie. Prawie od razu się opanował i wyszczerzył zęby w uśmiechu niekłamanego zadowolenia.